

Poiana Mikului na rumuńskiej Bukowinie

W sierpniu 1976 roku dwanaścioro młodych ludzi postanowiło wyruszyć w góry Rumunii. Po wielu próbach nowo skompletowanego sprzętu spotkaliśmy się we Wrocławiu skąd ruszyliśmy pociągiem. Po dotarciu do Budapesztu dalsza droga była czystą prowizorką. Z jednym jedynym wyjątkiem. Przed wyjazdem daliśmy sobie słowo, że dotrzemy na rumuńska Bukowinę, do miejscowości Poiana Mikului. Ktoś z naszych znajomych opowiedział nam o tej właśnie miejscowości.



Uczestnicy wyprawy do Rumunii w 1976 r. Fotografia ze zbiorów autora

O jej mieszkańcach, o tym jak żyją. Poruszeni tamtymi słowami postanowiliśmy nie tylko dotrzeć tam ale także jakoś może nie pomóc, bo to by było za duże słowo, ale wspomóc ich w podtrzymywaniu polskości. Miejscowość ta była zamieszkała tylko w połowie przez rodziny polskie. Co prawda rodzin tych było dobrze ponad sto ale cóż to jest, zwłaszcza w tamtych czasach. Czasach kiedy to wszystko było nadzorowane i kontrolowane. Nie wolno na przykład było gościć obcokrajowców. Mieli oni nocować w hotelach. A jednak, gdy tam przybyliśmy powitani zostaliśmy jak swoi. Nie dość, że rozlokowano nas po chałupach, przede wszystkim u ówczesnego sołtysa, to jeszcze we wsi urządzono prawdziwe święto. Wieczorem zaproszono nas do sklepu, który na tą okoliczność zamknięto i zamieniono go na miejsce naszego zapoznania z mieszkańcami. Pytali się oni nas o wszystko. O to jak dzisiaj, czyli wtedy, żyje się w Polsce, jak nam się powodzi. Byli ciekawi czy możemy robić co chcemy czy też jesteśmy pilnowani tak jak oni. Ludzie ci okazali się tak serdeczni, tak otwarci, że szybko nawiązaliśmy kontakty. Najgorsze, jeśli można tak powiedzieć, było dla nas to, że każdy z przybyłych chciał z każdym z nas wypić symboliczny kieliszek wódki. A polewali to co mieli najlepszego czyli cukję.

Był to napitek dość mocny, tak że obawialiśmy się czy to przetrwamy. Wszak odmowa nie wchodziła w grę. Na szczęście kieliszki okazały się być dostosowane do okazji czyli faktycznie były symboliczne. Jednak w sklepie było kilkadziesiąt osób. Przeżyliśmy to jednak i o dziwo na drugi dzień nawet nic nie czuliśmy. Wieczorem po powrocie na miejsce noclegu prowadziliśmy dalsze pogaduszki ale już tylko z rodziną naszego gospodarza. Ponieważ była nas spora grupka niektórzy poszli spać na siano. Pamiętam jak bardzo zdenerwowali się rano gospodarze gdy to odkryli. Chodziło im o to, że siano to było świeżo skoszone i dopiero co zwiezione, a ponoć zasypiając na takim sianie można już się nie obudzić. Pamiętam też rady jakich nam wtedy udzielano. Chodziło o to by nie oddalać się po nocy od domostwa. Przyczyną tego był fakt podchodzenia pod gospodarstwo niedźwiedzi żyjących w okolicy, które czasami przychodziły bo bardzo smakowały im krowy.

Wracam jednak do sedna. Otóż dotarcie do tej miejscowości ustaliliśmy sobie za punkt honoru z konkretnego powodu. Także z tego samego powodu przez prawie dwa tygodnie targaliśmy pełen plecak polskich książek. Bo o to właśnie chodziło. Wiedzieliśmy, że ludziom tam mieszkającym brakuje kontaktu z językiem ojczystym. Dlatego zabraliśmy z sobą sporą ilość książek, które im zostawiliśmy. Oni byli z tego bardzo zadowoleni a my szczęśliwi, że udało nam się tu dotrzeć, przywieźć niespodziankę. Gdy widzieliśmy ich rozpromienione twarze sami odczuwaliśmy wielkie zadowolenie. Aż dziw bierze, że tak niewiele trzeba by wszyscy byli szczęśliwi. Myślę iż wtedy, chociaż na chwilę, nam się to udało. Nie wiem tylko do dzisiaj kto był bardziej zadowolony. Oni z otrzymanych książek czy my z faktu, że je tam dostarczyliśmy.

Teraz, po prawie trzydziestu pięciu latach dowiadujemy się, że właśnie w Poiana Mikului dnia 19 maja 2011 roku kardynał Stanisław Dziwisz dokonał poświęcenia nowo wybudowanej świątyni katolickiej, będącej zarazem pierwszą poza Polską świątynią poświęconą błogostawionemu Janowi Pawłowi II, czyli Karolowi Wojtyłe. Kościół wybudowany ze składek wiernych może pomieścić 200 osób. I to w zupełności wystarczy. Jednak sam fakt otrzymania zezwolenia na wybudowanie takiego obiektu jest już sam w sobie niesamowity. Katolicy bowiem są tam bardzo nikli procentowo, a więc niezbyt popularni. My uczestnicy tamtej wyprawy bardzo się cieszymy, że życie mieszkańców w tej górskiej miejscowości wzbogaciło się o miejsce, w którym mogą się oni pomodlić. Wiadomo przecież nie od dziś, że najważniejsze na obczyźnie jest wspólne przeżywanie trosk i zmartwień. A wspólna modlitwa jak najbardziej się w to wpisuje. Cieszymy się zatem, że im się poprawiło i że też kiedyś przywieźliśmy do nich kawałeczek Polski.

Krzysztof Tęcza